

ZOFIA CIEŚLA-REINFUSSOWA

## ŻYWOTNOŚĆ OBRZĘDÓW LUDOWYCH W KRAKOWIE I NA WSI PODKRAKOWSKIEJ

Aby mówić o obecnej żywotności obrzędów i zwyczajów w Krakowskim, musimy znaleźć płaszczyznę odniesienia, która pozwoliłaby uwidocznić i ocenić zmiany, jakie w tej dziedzinie ludowej kultury zachodziły. Uważam, że najdogodniej będzie przyjąć za punkt wyjściowy początek drugiej połowy ubiegłego wieku. Z tego bowiem okresu posiadamy stosunkowo pełną dokumentację zawartą w *Krakowskim* Oskara Kolberga, uzupełnioną materiałami historycznymi, częściowo pamiętnikarskimi Ambrożego Grabowskiego, Władysława Anczyca, Kazimierza Girtlera i in.

W owych czasach, od których dzieli nas przeszło stulecie, zarówno w samym Krakowie, jak i na wsi podkrakowskiej, obrzędy i zwyczaje były jeszcze bardzo żywotne, ale już wówczas, o czym pisał Anczyca w r. 1862, dało się zauważyć, że pewne zwyczaje, niegdyś znane i obchodzone, zanikły całkowicie jak np. żakowskie dialogi mięsopustne<sup>1</sup>.

Mówiąc o zwyczajach i obrzędach w Krakowskim, należy zacząć od samego Krakowa. Miał on pod tym względem bogatą tradycję, a wpływami swymi promieniował na wsie okoliczne. W wielu przykładach źródłem były dawne zwyczaje i obrzędy żakowskie, które w spadku po żakach przejęła w XIX wieku młodzież rzemieślnicza. Przybywała ona często do miasta ze wsi. Po wyuczeniu się zawodu jakaś jej część wracała z powrotem do miejsc rodzinnych. Tą więc drogą przenosiły się na wieś charakterystyczne dawniej dla miast zwyczaje żakowskie. Doskonałym tego przykładem są podkrakowskie *puchery* czyli *pucheroki* względnie *zocki* z okolic Wadowic.

Specjalne warunki złożyły się na to, że Kraków mógł dłużej niż inne

<sup>1</sup> O. Kolberg, *Krakowskie*, cz. I, Kraków 1871, s. 208.

miasta zachować swe zwyczaje i obrzędy. Pozbawiony od dawna godności stolicy, łupiony w czasie szeregu kolejnych wojen, podupadł tak pod względem materialnym, jak i kulturalnym. Z początkiem XIX w. było to miasto biedne, otoczone wieńcem rozpadających się murów, w którym klasztor stał obok klasztoru, a prawie każdy z nich — dla zjednania sobie wiernych — kultywował jakieś tradycje. Organizowano jasełka, wystawiano w czasie Wielkanocy bogato przystrojone groby, norbertanki patronowały lajkonikowi itp. Przeważającą część mieszkańców stanowili drobni rzemieślnicy i kupcy. Był to element konserwatywny, zachowujący zarówno wszelkie zwyczaje związane z życiem religijnym, podtrzymywany umiejętnie przez klasztory, jak i stare zwyczaje mieszczańskie w rodzaju Bractwa Kurkowego, które wywodząc się z dawnego przysposobienia obronnego mieszczan, dotrwało do dnia dzisiejszego. Czasy Rzeczypospolitej Krakowskiej wpłynęły korzystnie na poprawę bytu materialnego mieszkańców Krakowa, trwały jednak zbyt krótko, aby przekształcić w sposób istotny zwyczaje i obrzędy. Wprawdzie policja krakowska ścigała czasem kołędników chodzących z szopką, ale — jak wyjaśnia to w swych pamiętnikach A. Grabowski — szło tu przede wszystkim o satyryczne teksty, ośmieszające osoby wysoko postawione w hierarchii miniaturowej Rzeczypospolitej.

W II połowie ubiegłego wieku w okresie między Bożym Narodzeniem a świętem Trzech Króli chodzono jeszcze po Krakowie z gwiazdą ale — jak pisze Anczyca — około r. 1840 zwyczaj ten już ustawał<sup>2</sup>. Żywa natomiast w pełni była szopka kukielkowa. Obnosili ją po mieście „murarczy”, czyli rzemieślnicza młodzież pracująca w zawodzie murarskim. Szopka krakowska posiadała już wówczas wspaniałą architekturę z gotyckimi wieżami, oklejana była kolorowymi papierami, co w sumie stawiało ją znacznie wyżej od białej, byle jak skleconej szopki warszawskiej<sup>3</sup>.

Za czasów Anczyca w zespole kukiełek nie było już konfederata, klechy ani szlachcica<sup>4</sup>, w ich miejsce weszły nowe postacie, jak np., kozak i kozaczka, co może wiązać się z przemarszami wojsk rosyjskich idących na pomoc Austrii w czasie powstania węgierskiego. Z okresu austriackiego pochodzą kukielki przedstawiające sapersą, policjanta, strażaka. Jak zobaczymy dalej, aktualizowanie zestawu lalek szopkowych występuje i w czasach dzisiejszych. Szopka krakowska, która swe najwspanialsze lata rozwoju przechodziła na przełomie XIX i XX wieku, po I wojnie światowej wyraźnie zaczęła w Krakowie upadać. Zniknęły wtedy z Rynku

<sup>2</sup> Tamże, s. 249.

<sup>3</sup> Tamże, s. 209.

<sup>4</sup> Tamże, s. 208.

kukielkowe zespoły szopkarskie, zaprzestano je zapraszać do domów, jak to było dawniej.

Szopka kukielkowa cofnęła się na przedmieścia, gdzie przetrwała nawet ciężkie lata okupacji.

Przed I wojną światową w Bibliotece Krakowskiej wydana została książeczka o szopce krakowskiej, opracowana przez prof. Stanisława Estreichera pod pseudonimem Jana Krupskiego. Zawiera ona pełny tekst przedstawienia szopkowego z różnymi wariantami oraz ilustrację szopki Leona Ezenekiera. Książka ta stała się po dzień dzisiejszy podręcznikiem krakowskich szopkarzy. Z tych tekstów korzystał jeszcze po II wojnie światowej Jan Malik oraz zasłużony szopkarz krakowski, Zdzisław Dudzik. Przedstawienia szopkowe, organizowane obecnie przez Muzeum Historyczne miasta Krakowa lub przez Teatr Ludowy, cieszą się stałym powodzeniem i ogromną frekwencją publiczności. Oprócz szopek kukielkowych w okresie Bożego Narodzenia, pierwotnie przed kościołem Mariackim, a później u stóp pomnika Mickiewicza na Rynku, sprzedawano małe szopeczki o prostej konstrukcji, kupowane masowo dla dzieci. Wykonywane co roku w martwym sezonie przez rodziny murarskie, szopeczki te można było widzieć jeszcze w pierwszych latach po okupacji, a dopiero zakaz administracyjny położył kres ich produkcji.

W okresie międzywojennym chodzili po Krakowie mali chłopcy kołędujący po domach. Nosili oni zazwyczaj małą szopkę, licho skleconą, którą z trudem można było uznać za rekwizyt obrzędowy. W 1937 r. staraniem dra Jerzego Dobrzyckiego, pełniącego wówczas funkcję kierownika Wydziału Kultury w Urzędzie Miasta Krakowa, zorganizowano pierwszy konkurs na najpiękniejszą szopkę krakowską. Celem konkursu było podniesienie poziomu artystycznego tych obnoszonych przez młodzież szopek. Od tego czasu konkursy na najpiękniejszą szopkę krakowską odbywają się corocznie (z wyjątkiem lat okupacji) i stały się imprezą ogromnie żywotną. W gronie szopkarzy, prócz tradycyjnych murarzy (ci się już prawie zupełnie wykruszyli) występują przedstawiciele wszystkich warstw społecznych i wszystkich kategorii wieku, od dzieci szkolnych po 80-letnich starców. Doroczny konkurs szopek, mający miejsce pod pomnikiem Mickiewicza, ściąga olbrzymi tłum widzów komentujących żywo wystawione szopki, typujących nagrody i wiodących spory o to, które z szopek zasługują na pierwsze lokaty (ryc. 1). Pokonkursowa wystawa szopek, organizowana przez Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, cieszy się takim zainteresowaniem, że ilość zwiedzających w ciągu jednego miesiąca przekracza zwykle całoroczną frekwencję tego Muzeum.

W ubiegłym wieku chodziły po Krakowie małe grupy kołędników, wśród których znajdował się góral, diabeł i śmierć. Współcześni autorzy nie wspominają ich zupełnie. Umieścił ich jednak na powierzchni mało-



Ryc. 1. Konkurs szopek

wanego kaffla piecowego Jan Oksitowicz, majster garncarski działający w Krakowie w latach 1830—1842<sup>5</sup>.

Bardzo wesoło było w Krakowie w Tłusty Czwartek, przypadający w ostatnim tygodniu karnawału. W pierwszej połowie XIX wieku w tym dniu odbywał się tzw. *comber*, w czasie którego rozochoczone alkoholem

<sup>5</sup> J. Kostysz, *Jan Oksitowicz, garncarz krakowski i jego dzieło*, „Polska Sztuka Ludowa” 1952, nr 6, s. 325, ryc. 17.

krakowskie przekupki porywały siłą do tańca pochwyconych na ulicy przechodniów. Podobnie obchodzone były zapusty, z tą jednak różnicą, że odbywały się one na Placu Szczepańskim, gdzie stały kramy przekupek, harcowały grupy chłopców poprzebieranych w guńki i kierpce, mających na głowie wysokie, stożkowe, ubrane papierowymi, kolorowymi wstążeczkami tekturowe czapki. Towarzyszył im przebrany „dziad” ze słomianym biczem w rękę. Biczem tym, unurzany w błocie, okładał przechodniów domagając się okupu.

Zarówno comber, jak opisana tu zabawa zapustna znalazły swój koniec w r. 1846 wraz z Rzeczpospolitą Krakowską, gdyż — jak pisze Anczyc — policjanci rekrutowali się „z austriackich urlopników, którzy nader surowo karcili wszelkie objawy pustoty i prześladowali dawne zwyczaje”<sup>6</sup>.

Ofiarą policyjnych zakazów padł również sam „Zapust” czyli „Mantuański książę”, który w fantastycznym przebraniu chodził po domach wygłaszając wierszowane oracje. Dłużej utrzymał się jeszcze u „ogrodników” na przedmieściach, gdzie w r. 1862 można było zobaczyć i wysłuchać Mantuańskiego księcia — Zapusta<sup>7</sup>. Obecnie zwyczaj ten jest już zupełnie zapomniany.

Okres wielkanocny był w Krakowie mniej bogaty w zwyczaje niż okres świąt zimowych, ale i tu wspomnieć należy o kilku interesujących zjawiskach, tym bardziej, że zachowały się one do dnia dzisiejszego. Pewnego rodzaju ciekawostką jest istnienie w Krakowie od czasów średniowiecza Kościelnego Bractwa Dobrej Śmierci, które dawniej zajmowało się między innymi grzebaniem zmarłych podczas zarazy. Dziś opiekuje się chorymi i spełnia posługi pogrzebowe. Członkowie bractwa, przyodziani w średniowieczne szaty, w kapturach z wyciętymi otworami na oczy, biorą w każdy czwartek Wielkiego Postu udział w wieczornym nabożeństwie w kościele franciszkanów, kończącym się procesją ze świecami po klasztornych kruzgankach. Swoisty charakter i nastrój tego nabożeństwa oraz procesji ściągają na nie tłumy krakowian, jak również poszukujących egzotyki turystów.

Przed świętami wielkanocnymi pojawiają się w Krakowie sprzedawcy palm, które zatraciły już swój dawny miejscowy styl na rzecz barwnych kompozycji z farbowanych traw i suchych kwiatów. Sposób ułożenia ich przypomina przedwojenne palmy wileńskie. Utrzymuje się nadal obchodzenie w Wielki Piątek i Wielką Sobotę kościołów, gdzie wystawiony jest grób Chrystusa, jak również zwyczaj święcenia jadła.

<sup>6</sup> O. Kolberg, *op. cit.*, s. 265.

<sup>7</sup> Tamże, s. 263—264.

W drugim dniu Wielkanocy krakowianie tłumnie udają się na tzw. Emaus, który odbywa się na Zwierzyńcu w pobliżu klasztoru norbertanek. Jest to rodzaj odpustu, z tym, że nie posiada on już obecnie charakteru religijnego. Niegdyś na Emausie sprzedawane były tradycyjne zabawki przynieszone przez wytwórców lub handlarzy. Były tam drewniane siekierki, gliniane dzwonki, prymitywne zabawki rzeźbione z drewna, przedstawiające krakowiaków, flisaków w czółnie oraz całe serie figurek brodatych Żydów, w szatach modlitewnych, kiwających się na nogach ze sprężynek. Obecnie na Emausie znikły tradycyjne drewniane zabawki, zapanowały typowe odpustowe kramy z tandentnymi wyrobami produkcji fabrycznej, słodyczami, kolorowymi balonikami itd. Utrzymały się jedynie nadal kiwające Żydki, cieszące się zawsze niesłabnącym powodzeniem u nabywców. W bieżącym roku, w celu podniesienia poziomu emausowych pamiątek i przywrócenia dawnego charakteru, zrzeszenie chałupników „Milenium” skłoniło kilku swoich członków do sprzedawania na Emausie własnych wyrobów. Było więc nieco więcej niż zwykle kiwających się w czasie modlitwy Żydków, pokazały się zabawki gliniane w postaci gwizdających koników i kogucików. Specjalny sąd konkursowy powołany przez „Milenium” przyznawał nagrody dla sprzedawców wyrobów tradycyjnych, jak również dla kramarzy, których stoiska wyróżniały się estetycznym wyglądem.

W trzecie święto Wielkanocy, dziś już zniesione, udają się krakowianie na *rękawkę*, odbywającą się w Podgórzu, na Krzemionkach, między Kopcem Krakusa a romańskim kościołkiem św. Benedykta. Rękawka posiada charakter odpustu z kramami, karuzelą, różnymi grami, strzelnicą itd. W ubiegłym wieku był zwyczaj, że ze stromego wzgórza Krzemionek zrzucano w dół bułki, cukierki, orzechy, które na dole wśród tumultu i bitki chwytały ubogie dzieci. W latach poprzedzających II wojnę światową próbowano wskrzesić ten zwyczaj, jednakże na apel prasowy zareagowało zaledwie kilka osób rzucających dzieciom cukierki i pomarańcze.

Żywym do dziś zwyczajem w Krakowie jest obchód *lajkonika*, odbywający się w oktawę Bożego Ciała. Nie będę tu wdawała się szczegółowo w historię tego zwyczaju, poprzestańmy na tym, że z przedmieścia Zwierzyniec, a ściślej z klasztoru norbertanek wyrusza korowód składający się z Tataru harującego na drewnianym koniku, chorążego powiewającego czerwoną chorągwią z żółtym krzyżem i paru członków asysty oraz kapeli grającej charakterystyczną melodię towarzyszącą stale lajkonikowi. Pochód odbywał długą trasę od norbertanek do Rynku otoczony tłumem widzów. Siedzący na koniku Tatarzyn rozpędzał gapiów waląc na lewo i prawo buławą, a przychodziło mu to tym łatwiej, im więcej odwiedzał po drodze restauracyj, gdzie traktowano go wódką. Orszak

lajkonika wkraczał na Rynek w momencie, kiedy kończyła się tam olbrzymia procesja.

W przeszłości pochod lejkonika organizowali włóczkowie, czyli flisacy, mieszkający na Zwierzyńcu. Przed I wojną światową zewnętrzne dekorum lejkonika, a więc kostiumy i rekwizyty, musiały wyglądać dosyć nędznie, skoro na zamówienie władz miejskich Stanisław Wyspiański zaprojektował dla całego zespołu nowe wspaniałe ubiory. Wykonano je na koszt Miasta. Od tego czasu były przechowywane w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa, gdzie do dziś widzieć można pierwszy kostium lejkonika zrobiony według szkiców Wyspiańskiego.

Kilka lat przed II wojną światową miało miejsce wydarzenie, które głęboko wstrząsnęło mieszkańcami Zwierzyńca. „Pod lejkonikiem” zaczęli chodzić nie obywatele tej dzielnicy, ale o zgrozo, niejaki Andrasz, mieszkający w starych fortach austriackich koło Bronowic. Głęboko dotknęło to szczególnie Zdzisława Dudzika, wybitnego szopkarza krakowskiego, miłośnika tradycji, a przede wszystkim zwierzynieckiego patrioty, który tak długo walczył z Andraszem, aż w imię honoru Zwierzyńca zajął jego miejsce „pod lejkonikiem”.

Dzień obchodu lejkonika jest i obecnie ważnym wydarzeniem w dorocznych imprezach Krakowa. Na trasie przemarszu gromadzą się tłumy publiczności żywo reagującej na harce Tatarzyna, który teraz mniej bije i pije, a więcej tańczy.

Duże znaczenie w życiu Krakowa miały, a po części nadal mają do dziś, odpusty. Należy tu wymienić głównie dwa: na św. Stanisława (8 V) u paulinów na Skałce i na Zielone Świątki u kamedułów na Bielanych. Odpust na Skałce gromadził w przeszłości ogromne rzesze pątników, przybywających nawet z odległych wsi Kongresówki, dawał zatem ciekawy przegląd strojów ludowych. Dziś rola tego odpustu zwężyla się do skromnego święta typu parafialnego, w czasie którego przed klasztorem rozbijają swoje kramy garstka przekupniów.

Natomiast odpust na Bielanych był przede wszystkim uciechą krakowian. Udawali się oni na Bielany różnymi środkami lokomocji: umajonymi chłopskimi furkami, platonami miejskich wozaków, wiślanymi statkami. W pięknym lesie dębowym, u stóp klasztoru, czekały ich wielkie atrakcje odpustowe zarówno typu gastronomicznego (ogórki z beczki i kabanos), jak i rozrywkowego w postaci karuzel, huśtawek itp. Kilka scen rodzajowych mających miejsce na Bielanych utrwalił na swych kaflach nieoceniony zdun, Jan Oksitowicz<sup>8</sup>. Odpust na Bielanych jest po dzień dzisiejszy dla Krakowian tradycyjną okazją do odbycia tam wy-

<sup>8</sup> J. Kostysz, *op. cit.*, s. 324 i ryc. 21.

cieczki i zwiedzenia kościoła, dostępnego dla kobiet jedynie w tych dwóch dniach Zielonych Świąt.

Do tradycji związanych silnie z Krakowem należą wianki, które łączą w sobie pierwiastek sobótkowy z legendą o mitycznej królowej Wandzie. Sobótkowe ognie rozpalano w dawnej Polsce nie tylko na pustkowiu, ale i na ulicach miast. W Krakowie palono sobótki na Błoniach i bliżej nad Rudawą. Tańczono z płonącymi główkami, śpiewano, skakano nad ogniskiem, a dziewczęta puszczały wianki na Rudawie, Wildze, Białusze i Wiśle. Dopiero po wielkim pożarze Krakowa w r. 1850 wszystkie imprezy sobótkowe, ze względu na przepisy przeciwpożarowe, przeniosły się nad Wisłę, pod kontrolę policji i straży pożarnej<sup>9</sup>. Zmienił się wtedy charakter dawnego zwyczaju. Zaroilo się na Wiśle pod wzgórzem wawelskim od fantastycznie udekorowanych łodzi, na których palono sobótki, albo uformowane były żywe obrazy, mające najczęściej za temat Wandę „co nie chciała Niemca”, otoczoną orszakiem rusalek. Całość uzupełniały ognie sztuczne w postaci rakiet, wodospadów, fontann itd. Wianki w tej formie przetrwały do dnia dzisiejszego, są stale upiększane (ostatnio na wzór Zachodu) wprowadzono „światło i dźwięk”. W noc świętojańską — kiedy odbywają się wianki — można prawie „cały Kraków” spotkać nad Wisłą.

Jak wspomniałam na wstępie, zwyczaje i obrzędy obchodzone w Krakowie były niejednokrotnie wzorem dla mieszkańców wsi. Widoczne jest to przede wszystkim w zwyczajach dorocznych, wykazujących na ogół większą żywotność na wsi aniżeli w mieście. Przykładem jest szopka, która we wsiach z okolic Krakowa zapożyczyła architekturę od krakowskiej szopki miejskiej i podobnie jak ona posługuje się kukielkami. Według Anczyca, w ubiegłym stuleciu kukielkowa szopka wiejska była niema, obecnie przedstawieniu towarzyszy tradycyjny tekst. Z dawnego zespołu lalek szereg postaci, niezrozumiałych już dziś, zostało wyeliminowanych, jak np. olejkarz, Madziar, a na ich miejsce weszły nowe, typowe dla danej okolicy, np. górnik spod Wieliczki. Również pewne sceny bywają aktualizowane. W jednej z szopek grana jest krótka scenka między producentem bimbru a milicjantem. Niekiedy komponowane teksty szopki mają charakter satyryczny i stanowią narzędzie walki o różne żywotne sprawy wsi. Przykładem może tu być szopka z Krynki, organizowana przez miejscową straż pożarną, w której w końcowych piosenkach „dziadka” piętnuje się niewłaściwe zachowanie młodzieży w świetlicy, apeluje się do kierowców, żeby podwozili dzieci do szkoły i wytyka władzom gminnym, że nie mogą zdobyć się na wybudowanie ustępu przy świetlicy. W nawiasie należy dodać, że to, o co się

<sup>9</sup> T. Seweryn, *Tradycje i zwyczaje krakowskie*, Kraków 1961, s. 81, 85.



Ryc. 2. „Herody”

starali strażacy drogą urzędowych pism i podań, zostało momentalnie załatwione dzięki dowcipnej, satyrycznej piosence szopkowego dziadka.

Dużą żywotność wykazuje w Krakowskim tzw. „żywa szopka” albo Herody (ryc. 2). Są to zespoły złożone z kilku do kilkunastu osób: Heroda, marszałków, Turka, ułana, anioła, diabła, śmierci, Żyda, turonia, którzy w odpowiednich przebraniach chodząc po wsi odgrywają po chałupach urywek z opowieści biblijnej o Herodzie i rzezi niewiniątek, kończącej się śmiercią króla, a następnie wesołym występem Żyda harującego z turoniem<sup>10</sup>. W okolicach Krakowa, Miechowa, Skawiny zespoły takie, konkurujące między sobą bogactwem kostiumów i umiejętnością odpowiedniej interpretacji (bardzo poza tym ujednoliconego tekstu), chodzą po wsiach do dziś, podobnie jak w okolicach Myślenic, Wieliczki i Bochni spotyka się zespołu grające pastorałkę. Te grupy kolędnicze organizują się spontanicznie bez udziału jakiegokolwiek instytucji. Posługują się, jeśli idzie o Herodów, tekstami zapisanymi w zeszytach przekazywanych przez dawnych kolędników, zaś zespoły chodzące z pastorałką korzystają z kantyczek ks. Mioduszewskiego. Tak jedni, jak i drudzy, są przez ludność wiejską przyjmowani chętnie i nieźle wynagradzani, skoro opłaci się im przygotowywać wspaniałe

<sup>10</sup> O. Kolberg, *op. cit.*, s. 197.

kostiumy, których koszt w sumie wynosi często kilkanaście tysięcy złotych. Są nawet wiejscy specjaliści zajmujący się wykonywaniem kołędniczych strojów, głównie bogatych nakryć głowy, jak korony Heroda, hełmów marszałków, czaka ułańskiego czy czapki Turka. Ubiory te, jakie znamy z okresu międzywojennego i czasów po okupacji, były jeszcze bardzo skromne. Zaczęły dopiero wzbogacać się w ciągu kilkunastu ostatnich lat.

Od pewnego czasu wiejskimi zespołami kołędniczymi zainteresował się Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie i za nim referaty kultury w byłych powiatach myślenickim, limanowskim i miechowskim, a także dyrekcja Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie. Organizowano dla różnego rodzaju kołędników konkursy z nagrodami, a najlepsze zespoły wysyłano na zimowy karnawał do Bukowiny Tatrzańskiej. Niektóre z zespołów kołędniczych dawały też przedstawienia w Krakowie, cieszące się dużym i zasłużonym powodzeniem.

Obecna reorganizacja władz administracyjnych osłabiła nieco tę akcję, która bardzo przyczyniła się do podtrzymania tradycyjnych zwyczajów zimowych. Dzięki konkursom, posiadającym z reguły charakter otwarty, ujawniły się pewne zwyczaje uważane dotąd za zapomniane, jak np. chodzenie z kobyłką, gwiazdą, rajem, czy obchód, w którym biorą udział Trzej Królowie. Tą drogą wydobyte zostały na światło dzienne „draby noworoczne” w swych prymitywnych słomianych przebraniach, a także ludowe widowisko o świątobliwej królownie Dorocie. Przy okazji konkursów ujawniło się dużo tzw. okoleńdowań, czyli świeckich kołęd z życzeniami oraz melodii, które w znaczny sposób wzbogacają materiały przekazane nam przez Kolberga i innych autorów.

W czasie „zapustów”, zwanych też „kusymi dniami”, w południowej części Krakowskiego chodzi się „po drobsku”, to znaczy chłopcy (wyjątkowo dziewczęta) poprzebierani w kozuchy odwrócone sierścią na wierzch i przepasanych powrósem, z twarzami umazanymi sadzą, biegają po wsi wyłudzając od mieszkańców *dutki*. Wieczorem te „działające” luzem „droby” zbierają się na wspólną zabawę w gospodzie. Współczesne stroje drobów, szczególnie te, które widzi się na wieczornej zabawie, przypominają już raczej przebrania miejskiej młodzieży, np. w czasie juwenaliów. Z zapisków Anczyca wiadomo, że w połowie XIX wieku, w czasie ostatków, chodzili po wsi podkrakowskiej przebierańcy z kozą czyli maszką podobną do turonia<sup>11</sup>. Zwyczaj ten jednak został już całkowicie zapomniany.

W okresie wielkanocnym bardzo interesująco przedstawiały się zwyczaje związane z Niedzielą Palmową. Zaginął wprawdzie zwyczaj pro-

<sup>11</sup> Tamże, s. 263.

cesyjnego wprowadzania przed kościół jadącego na osłe aktora grającego Chrystusa wjeżdżającego do Jerozolimy. Warto tu jednak wspomnieć na marginesie, że w Tokarni, wsi leżącej na południe od Myślenic, na pograniczu Krakowskiego i Góralstczyzny, włączona zostało do procesji w Niedzielę Palmową rzeźba, przedstawiająca naturalnej wielkości Chrystusa siedzącego na osle. Rzeźba umieszczona na podstawie z kółkami ciągniona jest w czasie procesji przez mężczyzn. Twórcą jej jest miejscowy rzeźbiarz ludowy.

Powszechny jest do dziś zwyczaj święcenia palm, przy czym ich sposób wykonania i zdobienia jest bardzo różny. W części południowej, koło Myślenic i Lipnicy Murowanej, palmy przystrajane kwiatami i kolorowymi wstęgami dochodzą do wysokości 6—8 m, pod Krakowem i w części północnej Krakowskiego nie przekraczają one zwykle jednego metra. W skład palmy wchodzi zazwyczaj gałązki wikliny, suche trawy i kwiaty. W niektórych miejscowościach, położonych na południe od Krakowa, urządzone bywają w Niedzielę Palmową konkursy na najpiękniejszą palmę, dla podtrzymania dawnej tradycji. I tak np. w wymienionej wyżej Tokarni co roku konkurs dla młodzieży urządza miejscowy proboszcz, zaś w Lipnicy Murowanej Towarzystwo Przyjaciół Lipnicy. Jeszcze po zakończeniu ostatniej wojny widywało się w okolicach Krakowa palmy wielkanocne wetknięte w strzechę lub osadzone na kalenicy dachu, co miało zabezpieczać od piorunów. Obecnie, w związku ze zmianami w budownictwie, zwyczaj ten zaniknął, utrzymuje się natomiast wbijanie na polach krzyżyków z patyków rozebranej palmy lub nawet całych palm.

W Niedzielę Palmową rano we wsiach podkrakowskich biegają wspomniani poprzednio *pucherocy*. Są to chłopcy w wieku szkolnym, mający na głowach wysokie spiczaste czapki, z twarzami umazanymi sadzą lub tylko z namalowanymi wąsami, owinięci na krzyż słomianymi powrótlami; w rękach dzierżą drewniane młotki na długich styliskach i koszyki, do których zbierają ofiarowane im dary, przede wszystkim jajka.

Pucheroki wygłaszają skandowane, bezsensowne oracje, wybijając równocześnie rytm uderzaniem młotka w podłogę. Zwyczaj chodzenia „po pucherach” utrzymał się najlepiej w Zielonkach, gdzie w okresie międzywojennym działał w tym kierunku miejscowy kierownik szkoły. Po okupacji zwyczaj był kontynuowany, sprzyjał temu w pewnej mierze fakt, że na oglądanie pucherków przychodziła corocznie do Zielonek wycieczka z Krakowa organizowana przez PTTK.

Kilka lat temu Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie urządził w Modlnicy konkurs dla pucheroków. Zgłosiło się wówczas z kilku wsi ponad 100 chłopców. Konkurs ten, powtórzony

w roku bieżącym, dał bardzo słabe rezultaty, przybyło około 20 osób, w tym 3 czy 4 dziewczynki, które nigdy po pucherach dawniej nie chodziły. Znacznie gorzej wypadły również oracje, gdyż większość stojących do konkursu nie umiała już skandować. Puchery są niewątpliwie zwyczajem żakowskim, przeniesionym w dawnych czasach z Krakowa na wieś. Zasięg tego zwyczaju był rozległy, sięgał na zachodzie po okolice Wadowic; jedynie nazwa była inna, gdyż nazywano ich tu *zockami*. Dziś w Wadowickiem o zockach pozostało już tylko wspomnienie.

W Wielki Czwartek na terenach położonych na południe od Krakowa palono „Judasza”. „Judasz” była to kukła wykonana ze słomy, którą po polach obnosili chłopcy z uczernionymi sadzą twarzami. Spalenie odbywało się nocą przy ognisku, dookoła którego chłopcy tańczyli z kukłą zanim ją wrzucono w ogień. Zwyczaj ten, dość powszechny jeszcze w okresie międzywojennym, obecnie zachował się już tylko wyjątkowo, np. w Rudniku koło Sułkowic. Pozostałością jego jest palenie ognisk po polach, a w Drogini czuwanie przy nich przez całą noc.

W pierwszy dzień Wielkanocy w południowej części Krakowskiego chodzą w słomianych przebraniach tzw. *draby śmigustne*, a w drugie święto w okolicy Wieliczki chodzi tzw. *Siuda-baba* z grupą przebrańców. Wśród wrzasków i strzelania z bicia obchodzą oni wieś z wózczykiem, na którym znajduje się ruchoma figurka tracza i rzeźba przedstawiająca Chrystusa Zmartwychwstałego. Za czasów Kolberga zwyczaj chodzenia z traczem miał zasięg znacznie szerszy, gdyż występował też na zachód od Krakowa w Prądniku<sup>12</sup>. Obecnie utrzymuje się on w kilku wsiach koło Wieliczki. Jest rzeczą ciekawą, że obchód Siuda-baby organizują instytucje w rodzaju Związku Młodzieży Wiejskiej lub straży pożarnej. Za wygłaszane przy tym oracje i śpiewane pieśni dostają jajka, które zbierane do dużego kosza sprzedaje się następnie w spółdzielni, a uzyskany grosz przeznaczają na cele społeczne, np. na urządzenie świetlicy, kupno magnetofonu itp.

W drugi dzień Wielkanocy, w tzw. „śmiguśny” lub „lany” poniedziałek, odbywało się także chodzenie po wsi i oblewanie wodą. Czasem chłopcy przebrali się za „dziadów”, składali mieszkańcom wiosek życzenia, a napotkanych, szczególnie dziewczęta, oblewali wodą. Niejednokrotnie zdarzało się, że wrzucali nawet je do rzeki czy stawu. Dziewczęta wykupywały się od zimnej kąpeli, dając „dziadom” wódkę, ser lub jajka. Koło Myślenic (Skomielna Czarna) gospodynie, wracające z kościoła, były zadowolone, kiedy zostały oblane przez śmigustnych dziadów, gdyż miało to im zapewniać mleczność posiadanych krów. Jeszcze dziś śmigus jest odbywany żywo i z pełnym zaangażowaniem. Strá-

<sup>12</sup> Tamże, s. 285.

cił on jednak swój magiczny charakter, a często wodę źródlaną zastępuje obecnie o wielu zapachach woda kolońska.

Ognie sobótkowe, jak wiadomo, palone są w Krakowskim nie w wigilię św. Jana, tylko w czasie Zielonych Świąt. Zwyczaj ten stosunkowo wcześniej zaczął zanikać, do czego prawdopodobnie przyczyniło się też duchowieństwo zwalczające zwyczaj odczuwany jako święto pogańskie. Już w *Krakowskim* Kolberga czytamy, że „obrzęd palenia Sobótek w coraz większe popada zaniedbanie od strony granicy szląskiej. Tam ponad Wisłą i Przemszą gdzieniegdzie tylko obchodzony bywa [...]. W okręgu krakowskim i w pasie nadgranicznym Królestwa Kongresowego goreją te ognie po dziś dzień. Za Olkuszem, Miechowem i Szkalmierzem ku północy już ich nie widać. Na Powiślu atoli ciągną się aż ku Połańcowi”<sup>13</sup>.

Obecnie w czasie Zielonych Świąt w prawobrzeżnej części Krakowskiego również płoną ognie sobótkowe. Widać także ruchome świetlne punkty — pochodnie chłopców obiegających pola. Utrzymuje się więc zwyczaj palenia ognisk sobótkowych, zagubiła się natomiast już cała treść folklorystyczna obrzędu, a szczególnie pieśni sobótkowe, których zapomniane teksty i melodie można znaleźć li tylko w nieocenionych dziełach Kolberga.

Radosnym akcentem kończącym żniwa były dożynki. Z ostatniej kępkę żyta, pszenicy, jęczmienia czy owsa kobiety i dziewczęta wily wieniec. Miał on, zależnie od okolicy, różną formę. Niektóre posiadały kształt kopulasty, inne znów były płaskie jak duże bochny okrągłego chleba. Wszystkie jednak bywały przystrojone kwiatami i wstążkami. Wieniec niosła przodownica, a towarzyszyli jej żęncy, którzy grali i śpiewali różne obrzędowe pieśni. Wieniec ofiarowywano gospodarzowi, który rewanżował się żęnciom poczęstunkiem i zabawą z muzyką. Tańczono przy tym i bawiono się do późna w noc.

Dziś dożynki utrzymują się nadal. Zmieniły one swój dawny charakter obrzędowy, a stały się „świętem plonów”, uroczystością nie tylko ludową, ale ogólnopaństwową, połączoną z zabawą.

O ile w mieście Krakowie zwyczaje i obrzędy rodzinne dziś już nie przedstawiają się ciekawie z punktu widzenia zachowania tradycji, o tyle wieś ma ich jeszcze sporo, choć nie wszystkie ujawniają się na pierwszy rzut oka.

Obecnie chłopom powodzi się na ogół nieźle, a szczególnie wtedy, gdy część członków jednej rodziny pracuje w mieście. Wesela wiejskie odbywają się teraz hucznie, wystawnie, ale elementów tradycyjnych pozostało niewiele. Skład orszaku ślubnego właściwie został zachowany,

<sup>13</sup> Tamże, s. 296.

prosi się starostę, starościny, swaszki i oczywiście druhny i družbów. W czasie wesela śpiewa się daleko mniej niż niegdyś, i to śpiewają przeważnie tylko starsi. Rzadko także zdarzają się czepiny, a jeśli już mają miejsce, to nie w dawnej obrzędowej formie, lecz raczej nadaje się im charakter żartobliwy. Nie tańczy się tradycyjnych weselnych tańców. Z dawnego obrzędu pozostało jedynie błogosławieństwo przed wyjściem młodej pary do ślubu kościelnego i witanie ich chlebem i solą po powrocie z kościoła.

Pomimo takiego stanu rzeczy, gdy parę lat temu zorganizowano w byłym powiecie krakowskim konkurs na tradycyjne wesele, zgłosiło się do niego dwadzieścia parę wsi, z których mniej więcej połowa potrafiła w sposób doskonały odtworzyć dawny obrzęd weselny z najdokładniejszymi szczegółami. W bieżącym roku konkurs ten został powtórzony w skali całego województwa krakowskiego. Do konkursu przystąpiło 16 wsi.

Jest rzeczą charakterystyczną, że poszczególne *ad hoc* zorganizowane grupy weselne, wystawiając obrzęd weselny na scenie świetlicy wiejskiej, robiły różne błędy jeśli chodzi o zaaranżowanie izby tradycyjnej na scenie, rzadko natomiast myliły się czy potykały w sprawach związanych z samym obrzędem. Wynikałoby z tego, że w pamięci starszego pokolenia utrzymuje się w pełni obraz tradycyjnego obrzędu, który mogą niemal bez przygotowania zademonstrować w formie adaptowanej na scenie.

Przedstawione po wsiach w czasie trwania konkursu obrzędy weselne cieszyły się dużym zainteresowaniem publiczności, która — pomimo iż przeglądy wypadały w czasie gorących prac w polu — szczerze wypełniała salę i żywo komentowała widowisko. Uczestnicy zaś wesela nie potrzebowali wcielać się w obce postacie, gdyż wystarczyło, aby po prostu byli sobą. Wyniesienie tradycyjnego, realistycznie odtworzonego obrzędu weselnego na scenę podnosi jego rangę w oczach młodego pokolenia. Zdarzało się nawet słyszeć wypowiedzi młodych osób, że „gdy sam się będę żenił, to wesele zrobię na starą modę”.

Jak wynika z przedstawionego przeglądu miejskich i wiejskich obrzędów, sporo ich wytraciło się na przestrzeni ostatniego stulecia, sporo jednak przechowało się do dnia dzisiejszego. Niektóre z nich są jeszcze żywymi i praktykowanymi, jak np. Herody czy Siuda-baba, inne są już przetworzone; mam tu na myśli krakowskie miejskie szopkarstwo, które zatraciło swą funkcję pierwotną teatrzyku kukielkowego i zamieniło się w czysto artystyczną działalność plastyczną, uprawianą na zasadzie swoistego hobby przez pewną grupę miłośników tradycji krakowskich.

Utrzymujące się do dziś tradycje w postaci chodzenia po kołędzie, palenia ogni sobótkowych czy zatykania palm wielkanocnych na polach,

nie posiadają obecnie charakteru obrzędowego. Są to zwyczaje kulturowane na zasadzie przyzwyczajenia. Właściwa dzisiejsza ich funkcja ogranicza się do roli dekoracji, upiększającej w pewnych okresach szaryżnę codziennego bytowania, dająca niejednokrotnie okazję czynnego wyżycia się młodzieży, która wbrew przewidywaniom jest często motorem podejmowanych akcji. Znane są przypadki, że organizatorami czy głównymi uczestnikami różnych imprez o charakterze jak najbardziej tradycyjnym są młodzi ludzie dojeżdżający do pracy w mieście, a nawet stale w mieście już przebywający, którzy wracają na wieś np. w okresie, kiedy się chodzi z Herodami.

Folklorystyczne tradycje zanikły w procesie postępującej urbanizacji wsi między innymi i dlatego, że traktowano je na wsi jako praktyki przynoszące ujme, jako dowody zacofania kulturalnego. Dziś dzięki opiece państwa, dzięki temu, że tradycyjne zwyczaje i obrzędy ekspozowane są na festiwalach, w programach telewizyjnych i radiowych, wieś wyzbywa się zastarzałych kompleksów. Zaczyna dostrzegać, iż to, czego się niesłusznie wstydzono, ma swoją wartość, jakkolwiek inną niż w przeszłości, a mianowicie artystyczną. Dziś tradycyjne zwyczaje stają się często zaczynem dla pracy kulturalnej na wsi. Zdarza się, że ze spontanicznie zebranej grupy weselników, którzy zgłosili się na konkurs, powstał stały zespół ożywiający swą działalnością miejscowy dom kultury. Na przykładzie szopki z Kryspinowa widzimy, jak tradycja przesiąka współczesnością i jak można z tego uzyskać cenny oręż w walce o poprawienie sytuacji na wsi.

Organizowanie wspólnych akcji daje młodzieży wiejskiej — i nie tylko młodzieży — okazję wyżycia się artystycznego. Niejednokrotnie stanowi pomost wzajemnego porozumienia między młodymi a starymi, które często szwankuje w związku z powtarzającym się konfliktem pokoleń.

Patrząc z pewnym optymizmem na postępującą na wsi zmianę stosunku do swej własnej tradycji, musimy jednak mieć pełną świadomość tego, że to, co się tworzy obecnie na wsi w oparciu o przekazy przeszłości, jest już czymś innym, niż było dawniej. Wykruszają się stare treści wierzeniowe, a również i tradycyjna forma nie wytrzymuje naporu nowych wzorów, które przenikają na wieś znacznie łatwiej niż to miało miejsce w przeszłości.

Wyczuwał to doskonale Władysław Anczyc, pisząc w r. 1862, a więc przeszło 100 lat temu, w następujący sposób o szopce krakowskiej: „Wspomnienie to pragnę odświeżyć w waszej pamięci: piosnki i dialogi jasełek chcę przechować przyszłym pokoleniom, które może ich nie ujrzą, bo postęp, cywilizacja, jak strojowi, tak i dawnym zwyczajom narodów niesie zagładę. Znikną z czasem bezpowrotnie jasełka, jak znikły dia-

logi szkolne, jezuickie, mięsopustne i dominikańskie, o których dziś tyle tylko wiemy, ile wieści przechowały nam o nich stare księgi”<sup>14</sup>.

Przewidywania Anczyca nie spełniły się jeszcze, nie można kwestionować jednak ich słuszności. Obecnie, gdy kultura ludowa weszła na drogę zasadniczych przemian, tym bardziej musimy zadbać o to, aby zachowane do dziś resztki przekazane zostały następnym pokoleniom w przez nas opracowanych księgach.

<sup>14</sup> Tamże, s. 208.